Randka z wrogiem

Ludwika Zachariasiewicz
Wydawnictwo Naukowe PWN, 2017
Seria: KARTY HISTORII

FRAGMENT KSIĄŻKI

Kiedyś z Józkiem szliśmy obok Cytadeli, było ślisko, ja się przewróciłam i wysypały mi się pistolety z torby. Pozbierałam je spokojnie, zamiast wiać, gdy tymczasem ludzie na ulicy uciekali na ten widok. Nie mieściło mi się w głowie: jak to, miałabym uciec i je zostawić? Nie mogłabym porzucić opłaconej, potrzebnej broni. Zresztą, nie widziałam powodu − w pobliżu akurat nie było Niemców. Józek, oczywiście, został ze mną. Co sobie myślał, to myślał – potem robił mi wyrzuty: „No, jak mogłaś! Czy ty sobie zdajesz sprawę, co robisz?”. Ale kochał mnie, a ja w ogóle byłam ryzykantka.

Raz w tygodniu jeździłam do dziadków do Wołomina. O tym w konspiracji wiedzieli, bo przedtem musiałam uzyskać zgodę na przyjazd dziadków z Czarnej (po okresie sprawdzania, czy nie są obserwowani). Dziadkowie orientowali się już wtedy, że jestem w konspiracji i akceptowali to. W tym okresie utrzymywałam dziadków, ponieważ otrzymywałam regularnie żołd konspiracyjny.

Kiedyś dziadek wyszedł po mnie na dworzec w Wołominie, a tymczasem Niemcy zrobili z jakiegoś powodu obławę. Wysiadam z pociągu i widzę, że dziadek stoi pod murem z innymi, a naprzeciw nich żandarmi z karabinami. Bez zastanowienia przeszłam koło Niemców, wzięłam dziadka za rękę i wyciągnęłam spod tego muru; bledziutkiego, roztrzęsionego zaprowadziłam do domu. Naprawdę nie rozumiem, dlaczego mnie wtedy nie zatrzymali, może ich zaskoczyłam swoim zdecydowaniem? Na szczęście tej akcji nie robiło Gestapo. Ja nie byłam odważna, tylko… impulsywna. Nie myślałam, co się zdarzy, widziałam tylko mojego dziadka pod murem. Przewożąc broń, nieraz wsiadałam w tramwaju do wagonu tylko dla Niemców. I jeszcze mi czasami jakiś Niemiec pomagał wnieść torbę: „O, ciężka!” – mówił. „No tak, ciężka” – przytakiwałam po niemiecku z uśmiechem. Wychodziłam z założenia, że jak będzie jakaś kontrola czy łapanka, to w wagonie Nur für Deutche nie będą sprawdzać.

„Ewa” wyznaczyła mi kiedyś spotkanie w kawiarni. Myślałam, że to znowu jakaś reprymenda za kontakty z Józkiem (mimo wspólnej pracy, nie powinniśmy razem mieszkać), ale „Ewa” zaprowadziła mnie do stolika, przy którym siedział starszy – jak mi się wtedy zdawało – mężczyzna. Przedstawiła nas:

– To jest „Lusia”, to pułkownik „Adam” – i poszła.

– Dobrze mała – podjął „Adam” – to my sobie porozmawiamy... Czy chciałabyś pracować bezpośrednio ze mną?

– Jasne! – tak się cieszyłam, że to nie reprymenda. – Oczywiście, że bym chciała, czemu nie.

– Dobrze, zatem będziesz mnie umawiała na spotkania, przewoziła różne rzeczy.

I tak to się zaczęło. Pułkownik „Adam” – występował też niekiedy jako „Jabłoński”– powiedział, że Józek ma już teraz sam radzić sobie z bronią, a ja powinnam całkowicie zająć się nowymi sprawami.

Był już rok 1944. Z pułkownikiem „Adamem” spotykałam się w różnych lokalach, często w „Narcyzie” przy Żurawiej, i odbierałam rozkazy. Może się wydawać, że to było nierozważne, tak spotykać się wielokrotnie w jednym miejscu, ale prawda jest taka, że ja kompletnie nie wyglądałam na konspiratorkę. Typowe było dla naszych dziewczyn z konspiracji, że chodziły na płaskim obcasie, były statecznie ubrane, żadna w kapeluszu, broń Boże. A ja byłam przeciwieństwem tego: i kapelusz, i manicure, te wszystkie rzeczy, i wysokie obcasy, raczej to wyglądało na spotkania męsko-damskie. Wyjeżdżałam też w teren. Podróżowałam dwa razy do Krakowa, by przekazać wiadomości w związku z planowaną akcją. Potem otrzymałam zadanie specjalne.

Więcej o książce: https://ksiegarnia.pwn.pl/Randka-z-wrogiem,702603698,p.html